

DZIECI

HL ✓

HENRYK LEŚNIEWSKI

D Z I E C I

DZIECI.—BOCIANY.—PROMIENŃ.—
O PATYK.—POSTANOWIENIE.—
OSTOJE.—RYBKI.—GRZECH.—W BA-
LJI.—GOŁĘBIE.—ZABAWA.—BURZA.

WARSZAWA
M. Szczepkowski
Jerozolimska 53, Hotel Polonia
1914

Prawa przedruku i tłumaczeń zastrzeżone.
Copyright by M. Szczepkowski, Warsaw, nineteen
hundred fourteen.



OKŁADKA WIGI SIEDLECKIEJ.

884-3M.2+884-2



K S
2m 7 2 20/4

DRUK PIOTRA LASKAUERA W WARSZAWIE.

m

DZIECI.

DZIECI.

— A tak! Zawsześmy się z panem na rogu spotykali. Co rano... co rano... A pamięta pan, jak to panu raz książki na trotuar rozsypały się, a kajet jeden w rynsztok wpadł i tak się obrzydliwie powalał? Taką miał pan wtedy pocieszną minę...

Jak to już dawno!...

.....

— Dlaczego? Hm, co tam o tem gadać!... Tak się stało... Był taki jeden...

.....

— Pójdzie pan do mnie? Niech pan pójdzie. Chciałoby się raz z inszym człowiekiem pogadać. Ja wiem! Pan taki poważny.. pan u mnie nie zostanie... Zawsze pan tak z żoną, czy z kim pod rękę idzie... Żona prawda? Zaraz się domyśliłam.

A dzieci państwo mają? Nie? A ja mam dwoje...
Jak pan pójdzie, to pan zobaczy.

.....

— Czy to jeszcze nie?

— A no, jeszcze jedno piętro, na czwartem.
A teraz tylko dwa schodki, o: raz, dwa i już...
Ee, tak pan idzie, jak za jakim pogrzebem!

Zastukała.

— Kto tam? — zapytał cienki głosik. — Kto
tam? — powtórzył jeszcze cieńszy.

Drzwi skrzyknęły.

.....

Dwoje dzieci—dwie pary oczu szeroko rozwar-
tych, a nad nimi lampa o nierównym brudno-
żółtym płomieniu i wyszczerbionem, nieco zakop-
conem szkle.

Dwoje dzieci, a nad nimi taka smutna, smutna
lampa...

Chłopiec i dziewczynka.

— No możecie iść do domu.

Ani się poruszyły.

Chłopiec brwi zmarszczył, głowę opuścił i zły
czegoś spoglądał z podełba.

Dziewczynka trzymała go za rękę, cofnąwszy
się nieco, jakby z bojaźni, w tył.

— A nie był tu kto?

— Nie—odpowiedziały razem.

— Macie tu po cztery grosze, kupciec sobie ju-
tro co.

Pocałowały ją w rękę.

Dziewczynka wyszła pierwsza, chłopiec zaś swę-
mi dużymi czarnymi oczami patrząc badawczo,
zwolna zamykał drzwi.

— Proszę pani, rzekł, jakby na pół z płaczem.

— Boles, nudzisz! Czego chcesz?

— Ten pan tu ostatnie?... Taki brzydki!..

— Głupiś! Idź spać!

Drzwi się zamknęły.

— No i cóż, podobają się panu moje dzieciaki?
Ha, ha, ha! Nie, nie moje, nie moje! Praczki.
Mieszka na tym samym korytarzu. Oprząta mnie,
pierze, a dzieciaki pilnują mi mieszkania, gdy wy-
chodzę.

— I matka pozwala im tu zawsze do ciebie
przychodzić?

— A cóż? Czy to im się krzywdą jaka u mnie
stanie, albo co?

— No, aleć zawsze...

— Et, co tam!...

Wpadła do sypialnej niszy, gdzie prócz łóżka, krzesła i pary pantofelków pod krzesłem owem stojących, nic więcej nie było. Knotek, po oliwie pływający, słabo oświetlał wnętrze niszy.

Tu, gdzie po wyjściu dzieci usiadłem, był niby salon. Na ścianach papierowe wachlarze, na nich fotografie, z ilustrowanych pism powycinane obrazki, gwoździkami poprzybijane.

Na stole obok lampy, przyćmionej abażurem z czerwonej bibułki, na fotografii jakiegoś młodzieńca stała odkorkowana na wpół wypita butelka piwa...

— Widzi pan—rzekła, zapinając haftki na pierśsiach (zarzuciła na siebie ponsowy szlafroczek, oblamowany czarnym sutaszem)—nie mogę zostać w mieszkaniu samego, każę im się zamknąć i siedzieć cicho. Czasem przyjdzie posłaniec, albo tak... kto... to się z nim dzieciaki rozmówią, albo matkę zawołają...

— I tak żyjesz?

— A no tak!... Żebrać pójdę? A może szyć? Ha, ha, ha! Na zelówki się ledwo zarobi — i to nie. Ale co tam o tem mówić!.. Chciałabym pana

choć raz pocałować, ażeby pan nie był taki poważny... Piwa się pan napije?..

Spostrzegła flaszkę na fotografii.

— A to smerdy! No widział to kto?

Twarz młodzieńca okolona była blado-żółtym kręgiem piwa.

— Biednyś ty!.. Piwkiem ci buzię powalali! No, widział to kto? Dam ja im jutro!..

To mówiąc, osuszała fotografię chustką od nosa.

— Kto to jest?

— Albo ja wiem? Mówi że jest adwokat. Tak go znam... ot... Lubi pan fotografie? Ach ja... ja tobym tak sobie cały pokój pozawieszała...

Zeszłej niedzieli poszłyśmy z praczką na sumę do Fary. Powiadam panu taki młody, a taki przystojny ksiądz miał kazanie! Tak bym chciała mieć jego fotografię... Taki czarny, wysoki, brunet, oczy ma takie bystre, a jak mówi, to aż człowieka nieraz dreszcz przejdzie i posmutnieje i grzechy sobie przypomni.

— Co ty tym dzieciakom mówisz, że tu różni do ciebie przychodzą?

— Tak znów dużo to nie przychodzi, sami znajomi, a zresztą cóż mam mówić? Nic nie mówię!..

Tak... raz, że brat, drugi, że szwagier, a wreszcie co im do tego? Albo to oni co rozumieją? Przychodzą, to i przychodzą...

.....

W korytarzu rozległ się płacz. Skoczyła. Otworzyła drzwi i wybiegła.

— Boles! Czego ty ją bijesz? Co? dawnoś nie dostał od matki. Czekał, czekał, tylko przyjdzie, to wszystko opowiem. Chodź tu do pani, Józiu, chodź. Nie płacz dziecko!..

— Proszę pani — bronił się chłopak — ja jej nie biłem. Ona się sama przewróciła... A po co mówi, że to nic nie szkodzi, że ten pan — dodał ciszej — brzydki, żeby tylko dał pani dużo pieniędzy...

Dziewczynka łkała...

Zaprowadziła oboje do mieszkania.

.....

— A ojca mają?

— Mając go mają, ale tyle, jakby go nie miały wcale! Muruje gdzieś za miastem i wraca w nocy, najczęściej pijany. Awantury wyprawia, klnie... Już go w bramie słychać: za łby się ze stróżem biorą, a na schody, to z godzinę wchodzi, bo co wej-

dzie, to się stoczy. Biedna kobieta! Chodziła do doktora. Powiedział, że nie powinna tak pracować. Nogi ma spuchnięte, ledwo trzewiki wdziać może, a w sercu to ją wciąż coś kłuje, w piersi oddech zapiera... I czy to słyszane rzeczy, żeby dziś kobieta na takiego pijaka pracowała od rana do późnej nocy? Ha, toć on swoje i jej pieniądze przepije... Jak posłyszysz, że idzie z awanturą, z hałasem, a najczęściej w sobotę po wypłacie, to dzieciaki do mnie przyprowadza. Boi się żeby im co złego po pijanemu nie zrobił... Półspiące, w koszulinach jednych przyprowadza...

— I zawsze je wpuszczasz?

— Cóż mam robić? Toć mi ich żal... Wejdą to i wejdą... Ułożą się w przedpokoju na chustce jednej i drugiej, co je za nimi wrzuci, ja im jeszcze tam co pod główiny daję i śpią. Chłopak tylko czasem wypytuje się, tak jak dziś; a co, a jak, a kto, a po co? Ale jak mu co dać, to się zaraz kładzie. A najlepiej piwa. Piwo lubi, więcej od starego człowieka wypić potrafi. Dać mu butelkę, to tak ciągnie, że aż miło, całą by wypił naraz...

Już pan idzie? A tak, już późno, a panu do

żonki śpieszno. A niech mi pan da kiedy swoją
fotografję, zawieszę ją sobie..

.....

— Niech pan poczeka, poświęcę panu, bo na
schodach ciemno...

.....

BOCIANY.

BOCIANY.

Niania śpiewa...

„Śpij dziecko już,
„Modre oczki zmrzu...”

Zasypia...

Wielkie chabrowe oczy zaszyły mgłą...

.... Śpi

Śpi cicha, jasna, różowa, nic nie wiedząca...

.....
.....
.....

Widzi duże pole, ogromne pole... Tatuś nie pozwala na pole chodzić, bo za polem łąka, a na łące błoto, a w błocie smok żyje, co dzieci chwytają i pożera...

Jeszcze nie widziała smoka.

Pójdzie go zobaczyć.

Niania zbiera kwiatki w zbożu i woła:

Maryś, Marylko, Maaryś!

.....
Zboże coraz rzadsze: jeszcze trochę: błoto, a
w błocie... smok!

.....
Rozgarnia rączkami kłosy.
A jak ją zobaczy?
Nie! nie zobaczy.
Biegnie. Zboże się skończyło. Niani niema.
A smok? I smoka niema. Pewno je objad, al-
bo śpi.

A jak się obudzil?
... W oczach krecą jej się łyzy ...
Trze je. Płacze.

„Śpij dziecko już,
„Modre oczki zmrzu...”“

Staneła. Płacze.
Jakiś szelest...
... Ciemno ... A dopiero co słońce było,
tam daleko na dole, gdzie takie duże drzewa ro-
sną i kwiaty, co aż do nieba samego sięgają...
Przestała płakać. Boi się, rączek nie odejmuje
od oczu.

.....
.....
Coś spadło z nieba na łąkę i zrobiło się jasno.
Chwyta się przydrożnych kłosów... Napewno smok!
Boi się bardzo.

„Śpij dziecko już,
„Modre oczki zmrzu...””

Podnosi trwoźnie głowę.
Spogląda na łąkę przez łyzy i kłosy.—
Na łące stado bocianów.
Przykucnęła w złotym gąszczu. Białysze kle-
kocą, skaczą. Gadają o czemś.
Mówią, że smok dziecko porwał. Przyszły o-
debrać. Gniewa się, że wiatr kłosami poruszył i
że nic nie widzi.

Wysuwa główkę...
Aha! bocian, stojący pośrodku, rozpostarł skrzy-
dła. Leci... W dziobie ma zawiniątko, a w za-
winiątku... dziecko.—
Przeleciał nad nią.
Reszta bocianów roztworzyła dzioby i kiwa się
i krzyczy.

„Bla-ci-szek — dla — Ma-lyl-ki
Bla-ci-szek — dla — Ma-lyl-ki.”



Zupełnie tak, jak ludzie.

Ogląda się, czy niema Niani.

„Bocian! Ja także do domu!” Ale bocian znikł...

Brzydki bocian.

Płacze.

„Śpij dziecińco już,

„Modre oczki zmrzu...”

Najstarszy bocian usłyszał. Przyleciał. Schwycił ją... Lecą. Obiema rączkami objęła go za szyję.

Lecą...

Z pod nóg usuwają się topole... droga... krzyż...

Lecą...

Widzi tamtego brzydkiego bociana. Rzucił zawiniątko w komin, gdzie mieszka tata i mama.

Spali się blaciszek. Spaali!... Rozpłakała się na głos.

„Śpij dziecińco już...”

Niania nachyla się nad łóżeczkiem.

Marylka otwiera oczy i obejmuje nianię za szyję.

— Nianiu gdzie blaciszek?

...Niania spogląda zdumiona...

— Chce blaciszka! Dać blaciszka!

Trze piąstkami oczy.

— „Jak będziesz grzeczna, to niania pokaże!”

W pokoju Mamy zapuszczone story. Marylka stoi w progu. Mama leży blade, biała, jak te poduszki pod głową, jak bociany!

Zbliża się pocichutku.

Stanęła...

Coś krzyczy!

Niania pokazuje jej kołyskę.

(Poznaje zawiniątko).

— Blaciszek?

Lala śpi! A gdzie bociany?

Rozgląda się wokoło...

...Nianiu, ja chcę tam, taam!

Na dworze jęczał wiatr jesienny i uderzał kroplami deszczu o szyby...

PROMIENÍ.

PROMIEN.

Popłakując... łkając wy dostał się Franio obity na podwórko.

Zmrużył boleśnie zapłakane, zalane łzami oczy.

Tam w dole za tymi mokrymi, śliskimi schodami zawsze tak ciemno!

Nawet w izbie...

(Okno wychodzi na szczelinę pomiędzy domami).

Na podwórku małym — maleńkiem, brudnym i wilgotnym, bardzo wązkim i bardzo „wysokim”, obstawionem żółtymi jednookiennymi ścianami, było nie wiele do widzenia: schody daszkiem kryte, prowadzące do mieszkań, skrzynia do śmieci, obok miotła... i wysoka drabina, oparta o martwą ścianę sąsiedniego domu...

Pomiędzy nimi po środku gość stał niezwykle.

Snop światła... promień złoty... Śmietnik ozłocił i miotłę i zakurzone szyby...

Nigdy takiego światła nie widział... A nie!
Jeden raz widział. Panią „z pierwszego”, która go po głowie głaszcze i daje cukierki i abecadlnik mu kiedyś dała z obrazkami—(matka abecadlnik w ogień rzuciła, całą noc wtedy przeplakała)—mówiła, że w takim promieniu robaczki małe, małe latają...

Czy mu jeszcze ostatnie to z rzęs to z podocza spadały na szary kubraczek... Jakie to są robaczki? Włożył rękę w promień i zamknął. Po chwili otworzył... Niema nic... Spojrzał w górę. Promień zaczynał się akurat przy drabinie, przy pierwszym szczeblu. Obejrzał się za siebie, czy kto nie idzie...

I zaczął wchodzić na drabinę, wolno, wolniutko, trzymając się jedną ręką, w drugą chwytając światło złociste...

Gołębie raz po raz przelatywały białe — złote nad nim...

W jedną rękę jednak nic złapać nie mógł...

Postanowił w obie...

Obejmie promień i przydusi... mocno... z całej siły...

.....

Nieme stało jak przedtem i jak od wieku już, złóte podwórko niewielkie — małe...
Promień,—(który tylko na chwilę drgnął boleśnie, porwał się i załamał) — złocił je i schodki i daszek nad niemi i miotłę i skrzynię i drobne niewielkie ciało... policzek nędzny zszarzały i złotych włosów bogactwo wielkie i stróżkę krwi, z pomiędzy tego złota złoczonego wyciekającą na smutne szare polne kamienie.

О РАТУК.

O P A T Y K.

— A, proszę babuni, czy Mamusia była ładna?

— Ładna, moje dziecko. Podobnaś do niej, jak dwie krople wody! O, widzisz na tym obrazku, to twoja Mamusia.

— To to Mamusia? Ja myślałam zawsze, że to jaka święta...

— A bo twoja Mamusia jest święta.

— Jest? A dlaczego?

— A bo dużo cierpiała i dobra była i...

— A to Mamusia jest teraz w niebie?

— Tak i patrzy na ciebie z góry i kocha cię i błogosławi, a gdy śpisz, czuwa nad tobą...

— To tak jak Anioł Stróż?

— A tak!

— A dlaczego Mamusia umarła?

— Bo była chora, bardzo chora.

— Leżała w łóżku, babciu, czy tak? I doktor przychodził?

— Tak...

— I Mamusia umarła? źle leczył Mamusię... Jak przyjdzie, to mu powiem...

— A, nie można, dziecko, to nie doktor winien. Tak się Bozi podobało i zabrał Mamusię...

— A to jak Bozia będzie chciała, Babuniu, to i Babunię, i mnie zabierze, i wszystkich, i nikt nie zostanie na wsi?...

— A nie! Widzisz Bozia zabiera tych tylko, którzy nie mogą chodzić.

— Aha!

.

— A proszę babci, gdzie mój Tatuś?

— Daleko, bardzo daleko...

— A jak Tatuś wygląda? Czy także taki piękny jak Mamusia? Czy mnie kocha? A ciebie kocha? A czy Mamusię kochał? A czy wie, że Mamusia nie żyje? Babusiu, Babunieczko! A czy ja mojego Tatusia zobaczę kiedy?

— Nie, moje dziecko!

— Nie? Czy nigdy, zupełnie nigdy, wcale?

— Wcale!

— A dlaczego?

— Dlatego, że Tatuś jest bardzo daleko i nie może przyjechać...

— A to my do niego pojedziemy...

— Także nie, bo to jeszcze, bo to widzisz... jeszcze dalej...

— Aha! to jeszcze dalej... To ja zawsze u Babuni zostanę?

— Zawsze aniołeczku!

A proszę babci, a co Mamusia Babci była?

Moja?... Moja?.., Hm... Córka, dziecko.

— A to tak, nie prawda?... jak ja Mamusi, i dlatego Babcia jest moją babcią... To zupełnie tak, jak Jaś ma swoją Mamusię i swojego Tatkę i Babcię, ale dwie, bo jedna to jest babcia Mamy jego, a druga Tatusia.

.

— Babuniu!

— Co, dziecko?

— A co to jest podrzutek?

— Podrzutek? A tobie skąd to słowo do głowy? Gdzieżeś ty to słyszała?

— Gdzie? A to wczoraj, jakeśmy się bawili na podwórzu, chciałam odebrać patyk Jankowi,

bo mi go wyrwał, a on nie chciał mi oddać i uciekał.

I...?

— I krzyczał tak na mnie... a inne chłopcy się śmieli...

— Krzyczał!... A tamci chłopcy się śmieli...
A! mój Boże!

— Babuniu, ty płaczesz?

— Nie, dziecko.

— Właśnie że tak, takie ci łzy pospadały z oczu na moje ręce...

— Nie, dziecko, coś mi w oko wpadło... Widzisz — już!... A teraz obejmij mnie za szyję, robaku ty mój i patrz mi w oczy i przyrzeknij, że się już więcej z chłopcami bawić nie będziesz, bo są niegrzeczni!

— A, to... to... brzydko, to niegrzecznie mówić tak, jak Janek?

— Niegrzecznie, dziecko, bardzo niegrzecznie.

— To to straszny wyraz?

— Straszny, rybeko, bardzo straszny i grzeczne dzieci, jak ty, nie mówią tak.

— Babuniu...

— No, czego, ty, ty moja złota główko?

— A czy nie będziesz się gniewała?

— Na ciebie? Niel... duszyczko!...

— A bo ja... bo ja mu powiedziałam...

— Komu? Co?

— A no... Jankowi..., że... że...

— Czego ty płaczesz, dziecko? Uspokójże m się zaraz. Cóżes mu takiego powiedziała?

— Że... że... on sam taki...

POSTANOWIENIE.

POSTANOWIENIE.

W całym domu cisza zaległa. Spali wszyscy.

Wacek otworzył pocichutku okno i zaczepił sznur u haka w parapecie, chwycił się i z wolna zsunął się na dół.

Wiatr lekko zakołysał otwartym oknem...

Okno zcicha, załóżnie skrzypnęło...

Wacek drgnął...

Spojrzał w okno, obramowane liśćmi dzikiego winogrodu, ale po chwili poszedł.

Ostrożnie otworzył furtkę, przeszedł przez drogę, wdrapał się na sąsiednie ogrodzenie i po chwili był już w ogrodzie.

„Zosiu, Zosiul!”, zawołał, znalazłszy się pod oknem domku w ogrodzie.

Okno na parterze się otworzyło...

„Wacuniu, ja się boję”.

— „Czego Zosinko?”

— „Sama nie wiem, tylko się boję”.

„Nie bój się, nic się nie bój — wszyscy śpią... Widziałem przez drzewa, jak się wszędzie ciemno zrobiło... Już z godzinę temu”.

„Tak? No, to dobrze... Toś Ty Wacuniu wrócił... U tego wujka byłeś”...

„A tak... Jeszcze mam jechać na jesień... Gajowy mi obiecał że mnie weźmie na polowanie na koty”.

„Na koty?”...

„A tak na pola, na rżyska, na polowanie”.

„Na koty? To tam koty latają na polu?”

„E nie! Zające”.

„Aha!...”

„Po myśliwsku mówi się kot, a myśli się zając”.

„Aha! Rozumiem!... Ale wiesz Wacuniu, ja myślałem, że to jednak musi być nieładnie, żeś ty przyszedł tak późno, chociaż Mania mówi, że co wieczór z tymi uczniami siedzą tak długo przed domem”...

„A kiedy widzisz, jak się ludzie kochają, Zosinko, tak jak my”....

„To ty mnie naprawdę kochasz? Bo ja to Cię bardzo.... Mam te malowanki, coś mi je dał i te baloniki na choinkę z niebieskiego szkła. Nie

wiesz wcale, że od czasu, jak Mama na wiosnę umarła, wszystko jest inne u nas. Gospodyni krzyczy na wszystkich”.

„I na ciebie także?”

„Tak mnie uderzyła w przeszłym tygodniu w ramię, że nie mogłam potem pisać. Tatusiowi nie mówię, bo Tatus taki smutny po Mamusi, ale jak Janka z pensji przyjedzie, to jej wszystko opowiem. Ona już duża”...

— „To tobie źle Zosinko, teraz... Zosinko! płaczesz? Widzisz nie płacz bo... Wiesz co?

.....

„A co?”

„Jabym Ci coś powiedział, ale”...

„Ale co?”

„Ale musiałabyś”....

„Co?”

„Wyjść tu do ogrodu, tobym Ci powiedział. Mnie coś na myśl przyszło”

„Wyjść, Wacuniu, teraz do ogrodu?... E... ja się boję... ja nie wyjdę...”

„Bo widzisz... Ty jesteś teraz nieszczęśliwa, a ja też...”

Mama wczoraj mówiła, że Ojciec mało zarabia,

że lepiej nie żyć, że... — sam słyszałem jak Mama mówiła — że jak tak dalej pójdzie, to nie będzie co jeść i że my wszyscy pomrzemy z głodu... A ja sobie teraz pomyślałem, że Ty jesteś taka nieszczęśliwa, to żebyśmy może lepiej oboje“...

„Żeby co?“

„Żebyśmy umarli!“....

„Umarli?! Wacuś!... Umarli?... Jak to... A czy to można umrzeć tak bez chorowania?“

„Rozumie się“....

„Tak?... ale jabym się bała... to przecież straszne umrzeć... przecież to pewnie bardzo boli!“....

„Nie zawsze. Ja znam jeden sposób“.

„A jaki?“

„Rzucić się w wodę do stawu i już“....

„O jej... Wacuniu... Co Ty mówisz...“

„Tak krzyknęłaś... jeszcze się pobudzą“—

„A bo ty mówisz takie rzeczy, że ja się boję“...

— „E... co to się wszystkiego bać... jedna chwila... i już... Potem się wypływa“....

„Zupełnie umarły?“

„A tak!“....

.....

„Wiesz, Wacuniu, może Ty masz rację... Mo-

że to i lepiej... Ale tam tyle wody... Ale czy nas potem pochowają na cmentarzu?“

„Jak znajdą, bo woda czasem zaniesie daleko, ale można tak zrobić, żeby razem, to nas znajdą“....

„— Razem?“....

„A tak!... zwiążemy się. Mam w domu sznur... Chcesz? To pójdę... Na tamtym świecie mówią, że lepiej.....“

„— Lepiej... Jeśli tak, to dobrze, idź! — Tam Pan Jezus... Mama...“

„No to poczekaj i wyjdź przez werendę“....

„Mam wyjść tak sama?... Lepiej jak wrócisz“.

.....

„Widzisz — już... O, tym sznurem... Widzisz, wysłaś i nic Ci się nie stało. Jak umrzemy, to nam zaraz będzie lepiej“.

„Naprawdę?“....

„A tak!“....

.....

„Wacuniu, to my się kochamy“.....

— „Rozumie się, to się tak nazywa“.

„Ty mnie i ja Ciebie i oboje razem się... No to dobrze, to już się nie boję... Tylko czy to się nie krzyczy jak się umiera... Czy to naprawdę nic nie boli?“....

„Nie! bo rzuca się w wodę i odrazu na dno, a potem już się nic nie wie“...

„No to chodźmy!“

.....

„Okręć się, Zosinko, okręć, o... tak, jak ja teraz, o tak. Teraz jeszcze raz... Weź mnie teraz prawą ręką za szyję“.

.....

„Nie bój się Zosinko, tak drzysz... przecież ciepło“...

„Ja... ja.... ja.... niee drzę wcale... tyylkoo“....

„Wchodź pomału.... zupełnie pomału, potem dopiero chlust!“....

„Wacuniu... ja się boję... pełno wody mam już w bucikach. Ja nie chcę... ja... ja nie chcę... puść mnie,.... ja się boję.... Tatusiu!“.....

„E z taką robotą!... Naprzód powiada że umrze, a potem... Jak kto taki bojący, to....

— To co?“

„To niech idzie spać!... Chodź do domu!“

„Gniewasz się?“

„Wszystko jedno!“

„Ale bo widzisz, mnie się teraz inaczej zdaje... że jak się kto kocha, to nie powinien umierać“.....

— „E, co tam!“

.....

„Wacusi, spójrz tylko, jak to ślicznie wygląda jak te kwiatki z wiśni w trawę padają... Jak śnieg... Takeś mnie tym sznurem ścisnął! Ale nie rozwiążuj jeszcze! Chodź! Usiądziem pod wiśnią, popatrzym sobie, jak kwiatki lecą. Chodź! Ale teraz lepiej rozluźnij trochę... Patrz, patrz tylko... połóż się tak koło mnie na trawie. Zobaczysz jak to przyjemnie, jak te kwiatki na twarz lecą... Prawda?... Ja tu sobie co dzień siedzę — tu się bawimy z Ludką i Manią... Patrz o!... jak lecą.... Wiatr taki mocny teraz. Poczekaj, zobaczysz zaraz, zaczniesz jeszcze więcej spadać... O widzisz... o teraz... Zupełnie jak śnieg... Jak się kto kocha, to powinien żyć... Ty masz jedenaście, a ja teraz dziesięć skończę, to akurat... Ty będziesz miał dwadzieścia, to ja będę miała... to ja... też będę już duża i wtedy się pobierzemy!

Mówiłam o tem Tatusiowi, ale się Tatus ze mnie śmieje!... Jak mnie się chce spać!..

.....
„Tak mnie gładzisz po głowie, Wacuniu, jak Tatko... Tatko też mnie kocha... Wacuniu!... pocałuj mnie... Tatusz mnie także całuje... Jak tu zimno teraz... A a a ... Tak mi się spać chce... Prawda, woda też... zimna?... A jak będziemy duże... Tatusiu!... Ja... ja się boję“.....,

.....
„Zochno śpisz?“
.....
.....
.....

Po wiśniowych drzewach szła fala wiatru za falą, biały okwiat strącając na dwie główki jasne przytulone do siebie... na dwa sny anielskie...
Biały okwiat wiśni, cudnie biały.....

.....
Księżyc go srebrzył.

OSTOJE.

Mówiłam o tem Tatusiowi, ale się Tatuś ze mnie śmieje!... Jak mnie się chce spać!..

.....

„Tak mnie gładzisz po głowie, Wacuniu, jak Tatko... Tatko też mnie kocha... Wacuniu!... pocałuj mnie... Tatuś mnie także całuje... Jak tu zimno teraz... A a a ... Tak mi się spać chce... Prawda, woda też... zimna?... A jak będziemy duże.... Tatusiu!... Ja... ja się boję“....,

.....

„Zochno śpisz?“

.....

Po wiśniowych drzewach szła fala wiatru za falą, biały okwiat strącając na dwie główki jasne przytulone do siebie... na dwa sny anielskie...
Biały okwiat wiśni, cudnie biały.....

.....

Księżyc go srebrzył.

OSTOJE.

OSTOJE.

Fragment.

... Szary, powyszczerbiany, odrapany mur szpitalny tyle bólów opasał, niby czujne ramię...

I twój...

Pogroziłeś niebu, łyzy otarłeś, młot wielki, ciężki chwyciłeś i poszedłeś w świat...

Ubijałeś drogę długą i białą, a koło Ciebie szły weselne tłumy i pogrzebowe.

Ludzie pełni radości, a inni pochyleni w smutku...

.

Po latach tyłu znów Cię widzę...

Idziesz wsparty na ramieniu wysokiej pięknej dziewczyny...

Idziecie zwolna przez pole świeżo zaorane...

Droga pnie się na wzgórze...

Na wzgórzu ławka, koło ławki brzoza.
Czyjeś ręce dobre już dawno, jakby dla was
ławkę ustawiły, bo miejsca tam ledwo na dwoje
starczy...

Od brzozy latem cień pada niewielki i osłania
przed słońcem głowy tych, którzy na ławce wy-
poczynku szukają.

A z pagórka widać świata kawał...

Pola i łąki... takie smutne...

Na polach, jak okiem sięgnąć, nikogo...

Tylko z liści odarte stoją samotne grusze — to
znów stoi poczerńałe...

Wrony latają...

Widzisz te chaty szaro-białe?

A ta jedna, gontem kryta, co tam nieco z boku
pod lasem stoi — znasz ją?

Wasza!

Na rękach waszych złote oznaki, nad głowami
waszemi błogosławieństwo chórów kościelnych i
nieba prawie wiosennego...

Z pagórka pójdziecie w chatę do siebie i dla
siebie.

Gościennych izb w niej niema... Niewielka jest

ta chatka wasza; miejsca w niej tylko na dwoje—
tak, jak na ławce z pagórka.

.....

Wiosna idzie...

Już jest daleko.

Wkoło chaty waszej bzy zakwitną i za płot się
poziewszają i zupełnie chatę zakryją przed oczyma
ludzkimi — a potem róże...

Czerwone i białe...

.....

Zmrok zapada powoli na świat...

W chacie, gontem krytej, czerwone światła błysz-
czą.

.....

Noc gwiazdzista, cicha, ciepła...

... W chacie gontem krytej już dawno światła
pogasty...

Mgła ją skryła całą prawie...

Śpi...

.....
Brzask...

Ptactwo się odzywa. .

.....
Poranek. Słońce.
Takie wielkie, złote, takie czyste słońce, jak
gdyby je wszystkie rosy dla wiosny umyły na po-
kazanie i na śluby nowe...

Dech ciepły ziemię muska...
I znowu idziecie we dwoje przez zagon...
Myślicie o szczęściu waszem i o dziecku, które-
go jeszcze niema...
Tyle o niem z pragnień waszych wiecie...
Z całunków.

.....
ONA: Kochasz?
TY: Kocham...
ONA: A tamta?
TY: Bóg mi ją zabrał... Dał Ciebie... Zazdros-
naś o nią?
ONA: Już nie!... Tylko chodź....

.....
.....
.....

Ptactwo śpiewa nad wami.

RYBKI.

R Y B K I.

(Piosnka na fujarkę)

Wypędziła macocha Jasia na dwór w koszulin-
ce jednej, wypędziła...

Akurat miesiączek z za chmury wyszedł, z za
ciemnej i rozświecił się, roztoczył wysoko, daleko...

Stoi Jasiętko przed chatą, płacze cicho...

Matulu!...

Matuś tam, tam gdzie miesiąc w górze, nad mie-
siącem, nad gwiazdkami wysoko...

Matulu!...

.

Śpiewnął ptaszek za zbożem hen, aż w lesie
czarnym daleko.

Ozwały się żaby za krzyżem w błocie... Za
krzyżem...

.

Idzie Jasio idzie, matuli przyzywa...

Matulu!...

Nie widać już chaty, już i żab nie słyhać za krzyżem.

.

Staął Jasio nad stawem i patrzy we wodę, jak to rybki maleńkie pływają...

Jedna, druga, trzecia: siła rybek małych, a miesiączek drugi we wodzie im świeci...

We wodzie...

Jak ze srebra rybeńki, jak koszulka Panienci nad ołtarzem w kościele... jak koszulka Panienci...

Chciałby mieć choć z jedną rybeńką maleńką i rączyną sięgnął we wodę, a rybki uciekły aż na dno...

Na dnie są rybeńki, rybeńki srebrniane, daleko, głęboko!...

Głęboko...

.

A wtem nagle w sitowiu, hen na drugim brzegu jasność wielka stanęła... i stoi... A w jasności przedziwnej Matuś sama stoi, by żywa! We światłości stoi, a Jasia przyzywa, przyzywa:

„Chodź do mnie Jasiuśku.

„Chodź do mnie syneńku.

„Chodź...

„Chodź...”

Matulu!...

.

I wyciągał Jasiuśko rączki małe, wyciągał, do Matuli szedł przez stawowe wody głębokie.

...Maaatuluu!...

.

I rozwarły się wody i porwały Jasia niedobre, a lilija biała, co na brzegu rosła, by wiatrem trącona, zadrżała...

Lilija biała nad Jasiem płakała...

Jedyna....

GRZECH.

GRZECH.

Nie było rady. Namowy nie pomagały. Uparł się, że poniesie dzieciaka na cmentarz sam.

Ucałowali, poklękli naokoło, a kto się w stróżówce pomieścić nie mógł, przykląkł w bramie i za nim słowa modlitwy szeptał...

Kobieta zawodziła...

Przyłożył ostrożnie wieczko i zakręcił śrubki... Wziął potem czyste, bielutkie prześcieradło, trumienkę pod pachę, kazał się przewiązać przez ramię i poszedł pierwszy. Reszta za nim. Na końcu utykał po nierównym bruku karawan...

Słońce doskwierało. Wiatr jakby przed deszczem od czasu do czasu podnosił tumany kurzu i bił nim w twarz jego, oraz ledwo wlokących się kobiet i milczących kilku mężczyzn...

Idąc tak zwolna po mieście z ulicy w ulicę, znikli w końcu za miejskim wałem...

Trzecie od ośmiu lat tak poszło... Ostatnie...
Powrócili pod wieczór...

Przed bramą posadzili chłopca od stolarza, a stolarz pozwolił, aby przez noc w bramie spał i otwierał.

Puste było, oj, puste mieszkanie!... Tylko z obrazka na ścianie nad łóżkiem litościwie spoglądała Matka Boża. Żle im się wchodziło. Tak jakby nogi mieli z ołowiu...

Napił się wódki, jej podał... Nie chciała. Rzuciła się na łóżko twarzą i ryknęła...

Wstał, lampkę przed obrazem zapalił... i wyszedł.

„Tak pan licył, tak pan licył dzieciaka, toś pan taki felcer i ten dochtór, co go se pan sprowadził na ostatek?”

Ha, miejcie wy do siebie pretensję. Mówiłem wam tyle razy, że to was źle leczyli i nie zale-

czyli. Dzieci po was chorują i mrą... Dooktor też tak mówi... Spytajcie go się sami.

Już późno było, gdy wrócił do izby. Światelko się paliło jak przedtem. Kobieta zmęczona spała. Usiadł przy stole w kącie, oparł się na ręce i zasnął...

Już rano był, gdy usłyszał, że kobieta przez sen coś mówi. Zrazu nie zrozumiał...

Ooo... To bez ten grzech... bez grzech wszystko... Bez grzech!... Oooo!... Jezu... Jezusieńku...

Omam mu oczy na wierzch nie wyszły, tak słuchał... Tak słuchał wylękniony, zdziwiony... Kto jej powiedział? Skąd wie?... Felcer?...

Zsunął się pocichu ze stołka i na kolanach przyczołgał się do łóżka... Głowę oparł o krawędź i tak został aż się rozwidniać poczęło... W domu ruch już słyhać było...

Kobieta się nie ruszała, tylko od czasu do czasu bełkotała, lub zwilżała językiem zczerniałe od gorączki usta...

Sprowadził do niej znajomą i kazał koło łóżka siedzieć, a sam wyszedł na podwórze. Już chciał chwycić miotłę do zamiatania, gdy drzwi od mie-

szkania zaskrzypiały... „Mówi, żebyście wracali, a mnie odsyła“...

Ledwo wszedł, zerwała się z łóżka...

Już wiem... już wiem... To bez to wszystko!

Bez co?

Bez grzech!

Jaki grzech? krzyknął, trzęsąc się cały. Czyj grzech? Kto ci mówił... Felcer?

Nie. Skąd felcer?! We śnie matkę widziałam swoim... Głową kiwała smutnie i mówiła, że to bez to.

Bez co?...

Ano...

Bez co?

Bez moje... bez nieślubne... Bez grzech mój...

Ah!.. Bez to!..

Tak!...

.....

Coraz im gorzej było samym... Na wieś wracać? Daleko, a tu dzieci...

.....

Robota nie szła... Nie jedli, nie pili prawie, schli i na zmianę w niedzielę na cmentarz chodzili...

Aż gdy tak znów jedna niedziela przyszła, kobieta z płaczem do nóg mu przypadła...

A ty co?

Daj sprowadzić...

Pomrzemy tu, jak sami ostaniemy... Ma blisko dziesięć... Cicha jest, jak sierota jaka i dobra... Daj... Odbierz...

Ostań. Sam pójde...

Boi się ciebie. Nie pójdzie. Puść mnie...

Ostań. Miałem pójść dziś do dzieci. Moja kolej, pójde po niom. A ty bramy pilnuj...

.....

Drzwi skrzyknęły po niedzieli nad ranem i do izby wsunęła się, jak cień, bosa dziecięcina. W izbie jeszcze cicho było... Siadła nieśmieie na stołku obok drzwi i, rozglądając się po izbie, spotrzęła zżółkłą twarz śpiącej matki... Po chwili, z wolna zginając kolana, klękła, ręce jak do pacierza złożyła, spoglądając to na matkę, to na obraz nad łóżkiem...

W BĀLJI.

W BALJI.

Właściciel skorzystał, że kobieta zwlokła się z łóżka i poszła nareszcie szukać roboty....

W pół godziny łóżko, stół, stołków para, stary tapczan, obrazek z rozbitem szkłem, garnków kilka, stara patelnia dziurawa — wszystko to znalazło się na podwórzu, wraz z dziećmi trojgiem....

„I ta tu balja jeich jest“, rzekł stróż do niego.
Odeszli....

Dzieci powstały... popatrzyły i rozplakały się...
Płakały tedy naprzód razem, potem po jednym —
to znów chórem....

Młodsza pierwsza uspokoiła się i podeszła do balji....

Weszła.

Za nią pobiegł chłopuś.

Przełożył zakrzywioną, owalną nóżkę i też wszedł.
Zaczęły skakać, tupotać....

„Będziecie mi tu cicho!
Niewolno krzyżeć!...“

(Ze stróżem żartów niema... zawsze go się bały...)
Stały... Potem zwolna usiadły...

Jakaś kobieta z pod fartucha wydobyła z obawą
garnek z kartoflami i postawiła przed niemi w bal-
li... (Od kartofli para szła jak błogosławieństwo, jak
dobroć... jak dech matki). Spojrzały na siostrę.
Kiwnęła głową, że można.

Zaczęły wydobywać kartofle i jeść....

I tak raz po raz ktoś im coś wynosił do jedze-
nia...

.

„Mamo, mamo, mamol... A myjemy dziś o-
biad od samego rana na podwórzu. Aha!... Tylko
ona nie chce i stoi cały dzień i nic nie chce“....

„To on rano was tak....“

.

„Ledwo Mama wyszła....“

„Nic nie jadłaś?...”

„Ma Mama tu fotografję taty, co to tata leży
umarty....“

Złapałam z podłogi jak nas wyganiałi.“...“

GOŁĘBIE.

GOŁĘBIE.

— „Dość nauki — nie trza więcej!...

Do pani chodzić nie będziesz. Jeść ci i tak nie da, o przyodziewku nie pomyśli, a tę kawinę co ci daje — psom by dała lepiej.

Tata znów we szpitalu — Władka do wojska psie wiary wzieni.

Pójdiesz na ulicę, gdzie brukują, tam kole placu i jak robotnicy się na obiad pokładną, wezmiesz trochę kostek drewnianych do pieca“.

— „A jak mnie złapią?“...

— A nogi od czego masz. Mało to inne chłopaki z miasta przynoszom? To węgla trochę—to chleba, co który może. A ty byś chciał może oberwusie, żebym charowała, a ty żebyś kiecki pani nej się ino trzymał i nauki brał. Dalej! Żebym cię tu nie widziała, bo jak złapę co....

.

.....

Gnali go z ulicy w ulicę jak zająca....

Cisnął kostki i szczapek parę i, odbijając się bosemi nogami od zwilgłych trotuarów, wpadł w jakieś wielkie podwórze, potem na schody, na strych i przez okienko po drabinie na dach.

Przycupnął za kominem....

Pogoń ucichła...

Rozejrzał się...

Na desce pomiędzy kominami, nieco dalej, chodziły sobie gołębie...

Siadł i wyciągnął pomału rozedrgane nogi...

Od pani dostaje chleb do kawy. Miał jeszcze kawałek w kieszeni (zawsze sobie na wieczór chowa). Zaczął go skubać i rzucać ptakom...

Oswoiły się i stukając dziobami zaczęły jeść...

Raz po raz któryś z ptaków przefrunął na inne miejsce, gdy chleb za daleko upadł, to znów frunął w dół dachu, gdy się chlebiuka czasem stoczyła... Jeden zaś usiadł mu na kolanie i wprost z ust wyjadał.

Reszta wtedy niespokojnie po desce chadzała, dziobiąc rozmokłą deskę, dziurawiąc ją nieomal...

.....

— „Zlizies ty mi stamtąd?!“

Drgnął... Drgnęły i gołębie, poruszywszy niespokojnie skrzydłami.

Czyjaś głowa w okienku na dachu... Jakiś człowiek z dużymi wąsami...

— „Zlizies po dobroci czy mam pójść i na łeb cię, chyclu, zrzucić?“

Ja ci dam po cudzych dachach chodzić i gołębie kraść... Chodź tu...“

Zakołowało mu się w oczach, drżał, ale do okienka szedł...

.....

Na policji z podbitym okiem, z rozerwanem na ramieniu ubraniem, pojękując echem minionego płaczu, z nogi na nogę przestępując, drżąc, opowiedział, jak było... Sprowadzili matkę.

— „Czy się pani przyznaje, że mu pani kazała kostki kraść?“

— „Kraść?! Powiedziałam, żeby sobie upatrzył, co nie potrzebne i żeby poprosił.“

„Nie! Mówił, powtarzał, że mu pani złapać i uciekać kazała...“

„A no choćby i tak, ale gołębi niczych łapać nie kazałam.“

Wypuścili go — zamknęli matkę.

(Nie chciał iść — wyrzucili za bramę.)

.....
Do domu iść? Boi się... ciemno... nikogo nie-
ma... Do pani? Może wie?... Do szpitala do oj-
ca — nie puszczają...

.....
Zapadła noc... Pooświetlali ulice i sklepy...

.....
Z łatwością zdołał wdrapać się na murek chwy-
cić rękami za kratę.

(Tam, gdzie sadzali na policji, wszystkiego jedno
tylko okno było).

Zawisł w powietrzu, ale też i cegłę z sypiącego
się muru strącił...

Ledwo w szybę zdołał zapukać, gdy go czyjeś
ręce w dół ściągnęły...

.....
— „Znów jesteś?

Poco tam łaziesz?”

(Ten sam pan w mundurze z brodą czarną sie-
dział za stołem).

— „A te bułki i tę puszkę sardynek zkąd wziąłeś?”

Spuścił głowę i nic nie odpowiadał.

ZABAWA.

ZABAWA.

Był to jeden z tych placów, których w głębi wielkich trzodnic ludzkich sporo bywa.

Plac pomiędzy domami — nie zabudowany jeszcze, krzywy, dwiema szyjami werżnięty w dwie linje domów, dwie łączący ulice.

Przez większą część roku pokryty był gęstą wysoką trawą, zieloną latem niby na najprawdziwszej łące, a szarą, zmęczoną pod jesień — ku zimie.

W parkanie, którym właściciel plac ogroził, brakowało tu i owdzie po jednej, po dwie deski, wiele z nich się pochyliło, wiele też innych od napierającej z zaniedbanych trotuarów wody, wygniło u dołu i zdawało się wisieć niejako w powietrzu, a że się nie waliły, to dlatego tylko, że sąsiednie jeszcze się jako tako trzymały, podtrzymywały je. — Świeciły więc nierównymi, szczerbatymi otworami, przez które hordy dzieciaków raz po raz wpędzały

koty włóczęgi, a te, oszalałe z przerażenia, wielkie susy robiąc, wpadały na plac.

Czasem sobie poszumiał na placu tym, myszkując między chwaścistą trawą latem i jesienią wiatr, zimą zaś tam, gdzie trawy zupełnie nie stało, ścinał łuską lodu wodę napadłą w małe stawiki, lub marszczył ją gniewnie przy pierwszych roztopach...

Zaludniał się placyk po parę razy dziennie—gdy muraże lub robotnicy, skuwający żelaznemi szynami nowe sąsiednie domy, przychodzili tam na jądło i wypoczynek... Dzieci się na nim bawiły...

Były na placu dolinki, a po okrajach pagórki, do zdobywania fortec świetne, w dolinkach zaś w pogodne dni dziewczątka się bawiły, strojąc lalki...

...Kobieta w chustce mocno na oczy nasuniętej, obejrawszy się raz jeszcze wokoło, przecisnęła się pomiędzy dwiema deskami parkanu, wyjęła coś z pod chustki w szare przybrudzone gałgany zawinięte, ułożyła na niewielkim pagórku wśród trawy...

Gięła się potem, odwróciwszy się od tego co pozostało w trawie, gięła się w jakiejś walce ze sobą, bo raz poraz jeszcze czyniła ruch, jak gdyby chciała sięgnąć po zawiniątko... Wróciła jednak tą

samą drogą na ulicę pustą jeszcze o tak wczesnej porze i szybko poszła w jedną z bocznych uliczek, zlekka rozświetloną matowem, niezdecydowanym światłem na poły już wiosennego budzącego się dnia...

Potem słońce się rozgościło na niebie, więc się dzieciaki z drewnianych domków na plac zbiegać się zaczęły...

Ho! ho! Słońce!... Słońce!.. Co ostrożniejsze było, szło po przez owe wyłomy w parkanie, niektórzy zaś chłopcy, zsuwali się pod spód przegniłego parkanu, w miejscu, gdzie plac tuż za ogrodzeniem opadał w największą kotlinę—wprost w maleńkie jezioro, spokojnie drzemiące i nic nie wiedzące o tem, że raz po raz zcicha zagładały doń nowiutkie utoczone białe obłoki lub przetarte, przemyte, cudnie niebieskie odmłodzone niebo... A tu teraz nagle uderzenia tyłu butów!..

Postanowiono zdobywać fortecę...

Jeden z chłopców miał z gazety zrobioną czapkę napoleońską i tacin kij stary. Ten był wodzem. Poczęło się gramolenie na jeden z pagórków osłizgły, zapadający się niemal...

Krzyki, tupania nogami, spychania... Parskania znarowionych koni... Nagle Napoleon, wierzącący nogami po pagórku na kiju, stanął... Reszta wojska za nim.

Zdobywający, zadarłszy głowy do góry, również przestali zdobywać, cali obłoceni i zmęczeni...

Jakieś coś... zawinięte... Rusza się... Dziecko? Zapewne mularze zostawili i poszli na budowę...

Zaopiekują się... będą się z niem bawić...

Jeden z chłopców pobiegł do domu i przyniósł stare wygięte binokle bez szkieł, inny przyniósł czapkę ojca z dużym podziurawionym daszkiem....

Zniesiono zawiniątko w kotlinkę...

Dziewczynki z ciekawością przyglądały się zsińiałemu dziecku. Zabawa w państwo jak co dzień...

— Państwo w gości mi wybrali się na spacer na pagórek w najdalszy kąt placu, ale dziecko, gwałtownie się ruszając, jeszcze gwałtowniej poczęło płakać...

Postanowili, że trzeba ukarać.

Odwinęto resztki starej chustki.

I posypały się miękkie, a głośne razy w specjalne na to przeznaczone miejsce, które każde dziecko ze sobą na świat przynosi...

„A to dopiero z takim dzieckiem!“ zakonkludowała mama. Dziecko jednak coraz bardziej płakało.

Zawodziło...

Siniało...

Płakało, płakało coraz bardziej....

.....

Ucichło jednak po jakimś czasie...

.....

— „Będziemy śpiewać tak jak u tych państwa na górze...

I idąc w takt śpiewali:

„Przez most chwaliszewski

Wszyscy ludzie chodzą chodzą,

Przez most chwaliszewski

Wszyscy ludzie chooodzą...

Tak idąc, wyszli na ulicę, z ulicy w bramę, z bramy w podwórze...

.....

— „Mamo niech Mama zobaczy co my mamy!“...

— „W Imię Ojca i Syna... Czyje... skądś-
cie to dziecko wzieni?!“...

— „Leżało tam za parkanem na ziemi“...

Kto żyw był, biegł zobaczyć, ale że dziecko już
nie żyło, więc uradzono, żeby je kto zaniósł tam,
skąd je dzieciaki przyniosły, bo to kram... policja...
tembardziej, że stróż był tego samego zdania i po-
wiedział, że jak się zciemni, to sam to zrobi...

BURZA.

BURZA.

(Dramat w jednym akcie).

ANDRZEJ

rybak, lat czterdzieści parę.

ZUZANNA

żona jego, lat około trzydziestu.

WILK

stary rybak, lat sześćdziesiąt.

KOBIETA Z LUDU

Rzecz w wiosce nadmorskiej.

Izba rybaka, u pułapu sieci rozwieszone.

Drzwi: jedne środkowe, drugie, do których dwa
schodki prowadzą, z lewej strony bliżej kąta.

Okno po prawej.

Po lewej stronie między środkowymi, a bocznymi

drzwiami komin, po środku sceny stół z ciemnego drzewa, nakryty do wieczery, a wkoło stołu krzesła z takiegoż drzewa, tu i owdzie ławy.

Gdy się kurtyna zwolna podnosi, widać Zuzannę, podbiegającą w kierunku od drzwi bocznych ku oknu.

W ruchach niepokój silny, walka jakaś.

ZUZANNA

W Imię Ojca i Syna... Matko przenajświętsza! (patrzy przez okno). Acha! Idzie stary... idzie, a przy nim jakiś człowiek. To on... tak, on!... Brodę zapuścił!.. Boże!.. Boże!...

(Odwraca się od okna, zakrywa rękami oczy i pozostaje tak przez chwilę. W środkowych drzwiach ukazuje się Andrzej w ubraniu marynarza. Wysoki, barczysty, z dość długą ciemną brodą.

Z szalonym dzikim krzykiem, zatrzymawszy się jednak na jedno mgnienie oka na pół drogi, pada kobieta w jego objęcia.

Przez pewien czas słychać tylko płacz i łkania, graniczące z jękiem...

Andrzej, objąwszy żonę lewą ręką i silnie do siebie przycisnąwszy, składa całunki na jej głowie. W głębi za Andrzejem ukazał się jednocześnie Wilk. Stary, choć z wyglądu krzepki, mocno szpa-

kowaty, średniego wzrostu. Twarz ma szeroką, zaczerwienioną, wygoloną, tylko pod podbródkiem ku szyi ów typowy zarost starych ludzi z nad morza.

Stoi chwilę, poczem znika, zamknąwszy drzwi za sobą.

ANDRZEJ

No, no! Uspokój się (prowadzi ją zwolna, przytuloną doń, na przód sceny, siada po lewej stronie stołu, a żonę sadza na kolanach). No dobrze, pięknie, ale teraz łyż otrzej i nie chowaj mi się. (Zuzanna wybucha nowym spazmem płaczu). Zuzanno, no! Dalej-że (d. s.) Ha! niech się wypłacze! Kobiety mają przecie łyż po to, aby płakały (cisza... słychać tylko silne łkania Zuzanny. Andrzej rozgląda się, d. s.) Nic się tu nie zmieniło przez ten czas: jak było tak jest (spozstrzega na stole zabawkę dziecięcą: srebrne dzwonki, osadzone wkoło czarnego niewielkiego trzonka. Chwyta i podzwania. Zuzanna pod wpływem dźwięku drgnęła silnie). A to co takiego? Któż to się takim cackiem bawi?

ZUZANNA

To... to... stary znalazł w piasku nad morzem i przyniósł tu i ot, leży to sobie tutaj...

ANDRZEJ

A no przecie, żeś się obejrzała... Nareszcie cię porządnie widzę! No! prosto w oczy! Tak jak dawniej zawsze, kiedym to z połowów do ciebie powracał (bierze jej głowę w obie ręce). O tak! Hm!... (całuje ją w czoło i w usta) jakoś mi rzeczywiście nie świetnie wyglądasz! Oczywiście te same, ale tak się gdzieś głęboko pochowały, jak gdyby się świata bały... Ale te same, te same niebieskie... moje... (całuje ją w oczy). Rok ich prawie nie widziałem!... Niechże mi więc płakać przestaną!.. Albo!.. Gdybym był wiedział, że tyle płaczu będzie, nie wracałbym wcale!... (po chwili). Hm, śmieję się, kobieto! Sam w to nie wierzę! Tam do diabła! Nie mógłbym nie wrócić! A te ostatnie dni, które mnie od ciebie dzieliły, diablo mi się długie wydawały!.. Wierz—nie wierz, ale ci tyle tylko powiem, że jak robota była, to jeszcze jako tako, ale jak mnie który zluzował—ani rusz!.. Oka zmrużyć nie mogłem, ani miejsca znaleźć: ciąglem cię widział! Ale ot mam cię i już nie puszczę. Dość tych wypraw! Jutro zrzucam to ubranie i dalej z siecianami na kół, na morze, ho ho!... na morze nasze, pocziwie! Wczorajem, jak dawniej, powróć akurat na Anioł Pański—do ciebie, do ciebie

moja ty, moja!... (całuje ją silnie, do piersi przycisnąwszy). Ale! Więc tyś w samej rzeczy taka jeszcze słaba, że na brzeg wyjść nie mogłaś? Inne z matkami, z dziećmi, z kim która mogła, poprzychodziły... Patrę... (jużem cię zdala z łódki, napróżno na brzegu szukał) tamtych się pytałem, czy cię nie widzą, a gdyśmy na brzeg wysiedli jak szalony dopadłem starego. „Żyje“ ryknąłem, nim zdołał coś powiedzieć... krew mi cała do głowy uderzyła, oddech mi w piersi zapało!.. „Chora, odrzekł z cicha, witając mnie, ale już lepiej, wstała i czeka was w domu“. Odetchnąłem. Tak, prawda! Bładaś, zmizerowana. I cóż ci było?

ZUZANNA

Nic! tak jakoś. Sama nie wiem...

ANDRZEJ

A matka? Prosiłem, żeby się tu sprowadziła do nas, choćby tylko na ten czas.

ZUZANNA

Nie chciałam... Prosiłam, żeby nie... Byłam raz u niej...

ANDRZEJ

I dlaczegoż nie chciałaś?

ZUZANNA

A ot, tak jakoś. Matka do miasta przyzwyczajona, całe życie tam... Podróż by ją zmęczyła. Zresztą tam ojciec leży... bracia i reszta... A tu? tu smutno... zdala ode wsi, na uboczu.

ANDRZEJ

Ha! Jak nie, to nie! Nie przyjechała matka do nas — pojedziemy my do niej (to mówiąc uderza w stół i przygniata pomimowoli zabawkę). Aj!

ZUZANNA

Ach!.. złamałeś to... Szkoda... to jest... chciałam powiedzieć, że to nic nie szkodzi, ale że...

ANDRZEJ

(nie zwraca uwagi na jej ostatnie słowa)

No! ale ot, matka — matką, ale i żołądek ma swoje prawa!.. Jeść mi się chce, że aż mi pod żołądkiem gra!... więc: dużo i dobrze!.. (Zuzanna schodzi z kolan męża i chwiejnym, niepewnym krokiem idzie ku kominowi. Chwyta patelnię. Staje, namyśla się jakby nad czymś. Potem postępuje krok ku bocznym drzwiom i cofa się: zwróciwszy się następnie tyłem do publiczności, a twarzą do komina, zaczyna się krzątać około przygotowania wieszery)—Mój Boże!.. Ilem to razy myślał, czy i

kiedy się to wróci z pośród tych gór lodowych i śniegów i tak znów razem do stołu zasiądzie!... Djabli nadal! Chciało się kapitanowi nadzwyczajnych rzeczy! To też nas szalone wichry w taniec pochwyciły i dalej-że z nami: buch o lodowiska, trzask na krę! I tak nas poniosły aż gdzieś, Bóg wie-dzieć raczy, gdzie! Lata tam pewnie nigdy nie bywało żadnego, ani tam jeszcze ludzka noga nie powstała... Jużeśmy i zarobek i wieloryby przekleli, a każdy sobie poprzysiągł, że jak zdrow wróci, to żeby mu góry złota dawali, nie pojedzie i sieci nie porzuci... Biedne one ale pewniejsze!.. Raz nas lodziska jak kościół wielkie, otoczyły ze wszystkich stron i ani rusz... Przygotowaliśmy się na długą zimę. Miesiąc za miesiącem mijał, a już czwartego rozpacz brać zaczynała. Zapasów coraz mniej... Wreszcie tylko suchary, a potem... świece! Kapitan zamknął się w swej kajucie i cicho siedział... bał się!..

Czuliśmy jak nas siły zwolna opuszczały...

Leżał każdy i czekał końca... Milczenie zapanaowało na okręcie, a chłód śmiertelny zmrażał szpik w kościach... Czasem kto silniejszy, podniósł się i szedł po świece. Brał sobie i dawał innym... Jedliśmy...

Aż jeden zmarł: gorączka go strawiła. Trzeba

go było rzucić w morze. Zaczął się rozkładać. Najsilniejsi się wzięli do niego. I wtedy to, ni-
by na zrządzenie Boskie, gdy ciało w worek za-
szyte, czekało smutnego losu, dwa największe lo-
dowce, jak gdyby zrozumiały, że się im rozstąpić
należy—rozstąpiły się.

I ujrzeliśmy morze, a jak okiem sięgnąć było,
nic tylko kra i śnieg i góry lodu... Swoboda...
powrół!.. Plakali niektórzy, a we wszystkich nas
nowe siły wstąpiły...

Tymczasem kapitan dał znak i worek znikł
śród kry... Szeptaliśmy wszyscy modlitwę... Ha!
kto wiel.. Mało brakowało, aby i innych i mnie
takiż los spotkał, lub zbiorowe zamarcie... Brr...
Ilem to cię razy widział i przyzywał, leżąc na
barłogu bezwładnie... Żegnałem cię i, przyznać
się wstydzę, pierwszy raz w życiu płakałem, a siły
tyle już tylko we mnie było, aby bić w rozpacz,
głową o ścianę kajuty!.. Płakałem... Sypały się
łyż na te tu piersi... sypały... — (obejmuje ją i
przyciągnąwszy, przechyla zlekka wtył. Spogląda
na żonę, całuje ją w oczy i czoło raz i drugi. Zu-
zanna drga nagle i pragnie się wyrwać z tego o-
bjęcia, pełnego czułości i dobroci i spogląda, wy-
lęknona, ku bocznym drzwiom).

ZUZANNA

Ach!

ANDRZEJ

Zuzanno!.. Co ci...

ZUZANNA

Nic.. nic!.. Gdybyś nie wrócił!..

ANDRZEJ

To i cóż! (z uśmiechem). Popłakałabyś, popła-
kała, a potem... Tam do djabła! Wdowa... lat
28... z groszem, z domem i gruntem i nieszpeta
ho! to i coś! Coś, czem ludzie nie gardzał! Może
byś była szczęśliwsza z innym! Nam Bóg dziecka
nie dał! A przecież dwunasty rok minie niedługo,
jak tak ze sobą żyjemy i nic!

ZUZANNA (jakby z jękiem):

Ach!

ANDRZEJ

Smutno u nas! Niema ni śmiechu, ni płaczu
dziecięcego!...

A ja tak zawsze pragnąłem usłyszeć śmiech wła-
snego dziecka. Widzieć je bawiące się... Gdy-
byż było!.. Tu na tym stole... małe w koszulince...

Główka złota... bose... Ty koło kuchni. Ja po połowie wracałbym do dwojga... Bawiłbym mego dzieciaka, dzwonił (chwytając dzwonek i podzwania) na rękach nosił... do snu kołysał... (W tej chwili Zuzanna upuszcza jakiś kuchenny sprzęt i rzuca się ku bocznym drzwiom, potem opamiętawszy się jakby, staje z lewą ręką wyciągniętą w owym kierunku i patrzy w stronę Andrzeja. Strach prawie jakby obłąd maluje się w jej oczach).

ANDRZEJ

Zuzanno! Zuziu! Na Boga! Co ci jest... Zbladłaś? Chwiejesz się (chwycił ją w pól). Co ci?— (Andrzej spogląda teraz zdziwiony w stronę owych drzwi). Płacz dziecka?... Dziecko... tu w alkwie... U mnie? Dziecko... A to co takiego? (trzymając ją ciągle w pól, silnie uderza we drzwi). Tak! Czyjeś dziecko w kołysce... Jakieś dziecko płacze. (Przez chwilę staje w zamyśleniu). To... to... nie może być... Ale skoro znów! Ach!.. (sadza ją na krzesło twarzą do publiczności, a sam, schwyciwszy się za głowę, w najwyższym zdumieniu spogląda osłupiałym wzrokiem to tu, to tam t. j. w kierunku bocznych drzwi i w stronę zemdlałej). Niel! Niel.. To nieprawda! To nie jej! (Chwyta z półki, umieszczonej nad kominem, naczynie z wodą i przy-

ska w twarz nieprzytomnej. Ta ani się poruszyła). Ach.. Oszaleję (krzyczy): Wilku!.. Hej zapadł się, czy co? (Podczas ostatnich słów podbiegł do okna, gdy tymczasem w środkowych drzwiach ukazał się Wilk. Spozrzęglszy go:) Czyje to dziecko?

WILK

Dziecko?

ANDRZEJ

Głuchy-ś?! Dziecko! Tak, dziecko czyje? (Gdy Wilk nie odpowiada, chwytą go silnie za ramię).

WILK

Aj! nie tak mocno, mości Andrzeju! Puść ot... Boli... Uf!...

ANDRZEJ (jeszcze bardziej nim potrząsnawszy)

Gadaj psie stary, albo na Zbawiciela!.. (Tymczasem krzyk i szamotanie się mężczyzn budzą Zuzannę z omdlenia. Przeciera oczy, wstaje i, postąpiwszy ku nim dość szybko kilka kroków, prosi Andrzeja):

ZUZANNA

Nie turbuj go (d. s.) Płacz!.. (Składa ręce jak do modlitwy).

ANDRZEJ

Odpowiedzcie mi więc przez Boga żywego, albo was tu oboje rozniosę!..

WILK (łagodnie do Andrzeja).

Uspokójcie się... Miejcie wzgląd...

ANDRZEJ

Wzgląd? Stary głupcze! Wzgląd dla kogo? Dlaczego? Czy-je-to dziec-ko!..

ZUZANNA (silnie i głośno)

Moje!...

Rzuca mu to słowo, przypada do bocznych drzwi i staje tyłem do nich, rozkrzyżowawszy ręce.

ANDRZEJ (rozdzierającym głosem):

Twoje? (Cisza. Po chwili jakby z obłędem): Ludzie na brzegu tak mnie dziwnie witali... tak dziwnie... Zdaje się śmiech słyszałem... że się ktoś śmiał... Och!..

Te łzy twoje! Stchórzyłaś... Pięści się bałaś. O! Gdybym-ż był nie wracał!.. Ale nie! Jestem... tuu... tuu jestem... I któż?.. kto? (twarz koło twarzy jak gdyby ją chciał przebić wzrokiem). Kto? tu—w tej alkwie—pod obrazem, pod krzyżem tym? Kto?! kto?! Ha ha ha (zamierza się, poczem chwyt-

ta ją za włosy, targa i ciska na próg. Wilk podbiega ku nim).

ZUZANNA

Dziecko moje!

WILK

Na Boga! Zlitujciez się...

ANDRZEJ

Litować mi się każesz — ty! obrońco! Ty zół-wiu stary... Mnieś na rękach nosił, a teraz może to szczenię? cieleca dobroci! (Wilk chce coś powiedzieć). Idź, niech cię tu nie widzę Idź do twych sieci zbutwiałych... Dziury idź łatać, idź!..

WILK (błagająco).

Uspokójcie się, panie Andrzeju... Wysłuchajcie... Ona... ona... niewinna... opowie jak było...

ANDRZEJ

Niewinna!.. Ha, ha, ha... Jak było? Djabli mi do tego! Wiem jak jest! Idź... (wypycha go za drzwi, gdy ten chce jeszcze coś powiedzieć).

(Do Zuzanny) Zabieraj co twoje i to tam (wskażując w stronę dziecka). Ale przedtem gadaj, który? kto? kto?

ZUZANNA

Nie wiem.

ANDRZEJ

Nie wiesz? A któż ma wiedzieć? Ja może... Chcesz abym braci witając i jemu rękę podał? Gadaj albo cię... (rozgląda się po izbie, chwytając stół i zamierza się) ...albo wieś całą zwołam i ich się pytać będę, a ciebie tu, tu na tym progu do drzwi hakami przybiję... Ty, ty... suko... Ty... Gadaj!

ZUZANNA

Niema go tu...

ANDRZEJ

Gdzie jest?

ZUZANNA

Nie wiem... przysięgam... nie wiem...

ANDRZEJ

A kto ma wiedzieć? kto? Idę na wieś!

ZUZANNA

Nie czyń tego... nie czyń... Słuchaj powiem wszystko... (Po niejkiej chwili, gdy się z trudnością na to zdobyła).

Zostałam sama, gdyś wyjechał... sama jedna...

Stary chodził często na zarobek do miasta... Jeślim kiedy wyszła, to tylko do kościoła... a tęsknota na brzeg często wypędzała i wdał parła... Czasem ze znajomych kobiet która z dziećmi przyszła... Aż raz... wracałam w południe z kościoła... Przed domem zastałam jakiegoś człowieka... Obcy... z miasta... Spytał czy to mój dom i czy mógłby z pagórka w ogrodzie malować morze... Pozwoliłam. I odtąd codzień tu przychodził, a odchodząc tu koło drzwi (wskazuje na środkowe drzwi) stalugi zostawiał... Po pewnym czasie spostrzegłam, że-m go się bać powinna... Tak na mnie dziwnie patrzył. Drżałam gdy wchodził... Uciekać chciałam... Duszno mi było... nogi się podemną uginały, a zła siła jakaś pchała mnie ku niemu... Chciałam mówić, że nie chcę, żeby przychodził... że... że... i nie miałam odwagi, śmiałości nie miałam.

Aż raz burza się zerwała ni stąd ni zowąd. A taka była, jakiej najstarsi nie pamiętali... Dom trzeszczał... Zdawało się, że niebo i morze zatopią wszystko naokoło. Rwało się coś nad światem, a czarno tak było, że jasność błyskawic stokroć się jaśniejszą wydawała niż zwykle, a czarność z morza idąca, przepaścią jakąś, w którą się wszystko zwalić miało, w niej skończyć...

Kara jakaś zawisła nad naszym biednym wybrzeżem i... nademną... (z trudem mówi).

Stało się to tak szybko... Strach mnie zdjął śmiertelny... Chwilami zdawało mi się, że dom nasz już podmyty... żem wśród morza sama, sama jedna... Nagle przypomniałam sobie malarza w ogrodzie... Jest tam niby altanka, ale podczas takiej burzy... Zarzuciłam na siebie chustkę... Otworzyłam drzwi, ale w tej chwili stanął on sam przede mną w progu... chciał coś powiedzieć... Ja także... Staliśmy tak przez chwilę jedno naprzeciw drugiego... Wtem wiatr okno z trzaskiem rozwarł... Potoki deszczu chlusnęły w izbę... Świałość zgasła... Zdało mi się że to już... że to koniec... że morze wtarga... Dopadłam tego człowieka, ratunku szukałam... obrony... uczepiłam go się... bo... morze... szło... widziałam... aż tu... Jedyne żywy człowiek on... (słabnie, odpoczywa—po chwili) A potem... potem... pamiętam tyle tylko... że mi coś mówił. Chciałam się wyrwać—krzyżeć—uciekać... biedz tam... gdzie przedtem tak ciemno było... tam... tam... w to okno szeroko otwarte... w burzę... w... śmierć...

Wyrwałam się jednak i jak szalona do drzwi

pobiegłam i precz mu iść kazałam... Wychodził stąd, cofając się... znów coś mówił... a ja... ja potem tu na tym progu przeleżałam... Ciebie widziałam... Tu leżałam, tu... aż... Wilk przysz... (osuwają się i mdleje. Andrzej tymczasem z głową silnie naprzód wyciągniętą, szeroko otwartymi oczami słucha cały... Przerazenie maluje mu się na twarzy...

To już nie mąż zazdrosny, szalony, oszukany, ale ów Andrzej, który całą potęgą prostej serdecznej swej duszy do żony, do jedynej mu drogiej istoty tęsknił. Po usłyszeniu ostatnich słów, rzuca się pełen współczucia ku temu bezwładnie na próg opadłemu drogiemu ciału, chwytając je, podnosi do góry jak piórko, do ust głowę tuli, pocałunek na niej wyciska, staje potem na chwilę niezdecydowany i w końcu znika w alkuwie. Wypadłszy zaś z niej po chwili z impetem sam, ochryplym głosem, głosem szaleńca, rozdzierającym głosem ludzi wołających ratunku, woła Wilka, otworzywszy środkowe drzwi). Wilku! Wilku! Hej Wilku! (wybiegł na chwilę w przedsionek, a potem, wpadłszy znów do izby, biegnie ku oknu). Wilku! Hej! tutaj stary! ... Czy ogłuchł? Wil-kuuu (przyłożywszy ręce do ust) A przecie! Prędej... szybko...

(przywołując go ręką krzyczy) Kobieta z tych co tam piorą... przyprowadź... zemdlą!...

Potem biegnie, chwytając naczynie z wodą i wpada do alkowy. Po jakimś czasie wychodzi z wolna z bezwładnie zwieszonymi rękami. Siada raczej pada na krzesło, zwiesiwszy głowę na piersi...

(d. s.) Ach!.. Hm.... A...

(W drzwiach tymczasem ukazuje się stara kobieta. Na nogach ma drewniane chodaki, którymi głośno postukuje. Za nią Wilk. Wilk, rozjeżdżawszy się po scenie i, nie spostrzegłszy Zuzanny, zagląda do alkowy i zaprasza ruchem głowy starą kobietę, aby tam weszła, sam zaś zbliża się z wolna do Andrzeja, który zda się nic nie słyszeć. Stara kobieta po niejkiej chwili zjawia się znów na scenie, podchodzi do Wilka i coś doń po cichu mówi, wskazując na komin. Wilk robi twierdzący ruch głową, poczem stara, zdjawszy swe hałaśliwe obuwie i postawiwszy je około drzwi wchodowych, idzie do komina, szybko nastawia garnek z wodą, a potem znów znika na lewo).

ANDRZEJ

(wylękniony, jakby ze snu zbudzony, pod wpływem dotknięcia ręki starego.) Ach!.. to ty stary!..

102



WILK

Tak, to ja, panie...

ANDRZEJ

Kobieta tam jest?

WILK

Jest.

ANDRZEJ

Takieś to mi jej pilnował?

WILK

Nieszczęście, panie, o! Nic tylko nieszczęście...

ANDRZEJ

(apatycznie). Tak... nieszczęście... i to ja... ja winienem. Namówili... pojechałem...

WILK

Powiedziała wam wszystko?

ANDRZEJ

Tak.

WILK

No i cóż?

ANDRZEJ

Gardź mną: przepędzić chciałem, a przecież to

103

ja, ja stąd pójść powinienem... Jej dom, jej wszystko... mego-ć tu tyle tylko ile pracy uczciwej... Pójdę stąd, ale ty zostań.. Pójdę, może gdzie tamtego znajdę...

WILK

Nie czyńcie tego! Wasze miejsce tu przy niej, a nie gdzieindziej. Jaką była, taką została. Nic jej to nie ujęło... Tak mi mój rozum stary mówi. A jeśli to, co się stało, ma być grzechem (choć ja tam grzechu ani krzty nie widzę, jako-m i nie widział!) to go już łzami okupiła, odpokutowała i tem chyba, że się topiła...

ANDRZEJ

(zrywa się na równe nogi). Topiła się? Topiła się, mówisz? O!... (z jękiem).

WILK

Nic wam nie mówiła?...

ANDRZEJ

Nic! Nic (boleśnie). Och!... (pada na stołek).

WILK

Byłem w ogrodzie... wychodzę, patrzę, a ta z wydmy w wodę... Pędzę... Ubranie po dro-

dze z siebie zrywam... Wpadam w wodę... Ani śladu... Aż tu nagle cap mnie za nogę i ciągnie na dół... Ja nurka... Nogę szarpie, ale gdzie tam! trzyma! Wtem: głowa... Łapie... i już po tem nic nie wiem... siły mnie odeszły, w sercu kurcz ścisnął psiawiara... Dość, że nas oboje ludzie wyratowali... Ale ja to tam twarda natura... nie dałem się... Osuszyłem się i tyla!... Ona wzięjsza... przytem... niby a no i... tamto... Długo chorowała... i cudem potem, cudem dziecko cało doniosła... Oj, cudem!

ANDRZEJ

A tamten?

WILK

(wzrusza plecami). Bóg go tam wie, gdzie on i skąd przyszedł... Znikł!

ANDRZEJ

Rozumiem... Sama była... sama jedna... w taką burzę straszną... Tak mój stary... Tak!... Wierzę wam, wierzę... A wiesz ty co to wierzyć znaczy, gdy żona własna z innym dziecko ma? Wiesz — Ty?... Ha, ha, ha!... Ale to tylko my tak z tobą... A ludzie, ludzie!... Widzieli przecież nie raz, że tu przychodził... Śmieją się teraz, szydzą... ze mnie... psy... szakale... ścierwa

podłe... (Po namyśle stanowczo) Tak! masz rację: moje miejsce przy niej... Ale tu zostać nie można!

Jutro... tak! Jutro stąd wyjedziemy. Dziś bym to uczynił, gdyby nie późna pora.

Jutro więc opuścimy to wybrzeże. Chatę zamknę, niech stoi... i pojedziemy gdzieś daleko... w ianych ludzi, gdzie znów będzie można żyć cicho... I ty z nami pojedziesz... (Gdy Andrzej mówi „jutro stąd wyjedziemy“ i t. d., ukazuje się za nimi Zuzanna).

Tak!... I ty poczciwy stary (kładzie mu rękę na ramieniu) ale teraz trzeba... (Odwraca się mimowoli i spostrzega żonę, a ta pada w jego objęcia, nie wyrzekłszy słowa).

Jak ptak doń przypada.

Jak ptak postrzelony...

I znów te dzielne męskie dłonie przygarniają wiotkie ciało kobiety...

A ona się tuli... opieki szuka...

Przebaczył jej i teraz ją tak mocno, mocno, trzyma... Szczęścia by swego za żadne nie oddała skarby...

Łka spazmatycznie a potem, gdy kurtyna zwolna się opuszcza, ucicha...

Paryż, 25 lipca 1902 r.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Dzieci . (odznacz. na konkursie im. Bolesława Prusa)	5
Bociany	15
Promień	23
O patyk	29
Postanowienie.	37
Ostoje	47
Rybki	53
Grzech	59
W balji	67
Gołębie	71
Zabawa.	77
Burza (odznacz. na konkursie „Wędrowca“) .	85



4690